

ARTUR C. SZREJTER

SPRAWA LOKERA

Szczeka Garm głośno przed Gnipa jamą, Okowy pękają, Fenrir - wilk pędzi wolny, Wiele wiem, przyszłość widzę, Bogów przeznaczenie, zwycięzców upadek.

Voluspa

tłum. A. Załuska-Stromberg

I Żył teraz jako normalny, szary człowieczek. Miał nawet lodówkę i pralkę, kupił je po tym, jak przygodna znajoma spytała, czy rzeczywiście jest na tyle bogaty, by wszystkie posiłki jeść w restauracjach, a ubrania oddawać do pralni. Nauczył się więc gotować i pracować, z czasem sprawiło mu to przyjemność, choć z bieganiny po kuchni najbardziej lubił podpalać gaz. Wzniecać ogień. Przypominało to stare czasy. Budziła się wtedy tęsknota, bolesna jak ostry smak wódki. Alkoholu nie lubił, ale się przyzwyczaił - coś pić trzeba. Przy obcych zmuszał się do kawy czy herbaty, ale tylko gorącej, zimnej by nie przełknął. Czuł jakby go gasiła. Kiedy był sam, wlewał w siebie butlę wody. Przykre uczucie zimna przechodziło. Miał wtedy nadzieję, że zachował coś z siebie. Z dawnego siebie. Nie bez przyczyny Francuzi nazywali ten trunek eau-de-vie - woda życia. W piątek, tuż przed południem, jak zwykle zapukał listonosz. Sympatyczny młody chłopak, dawanie mu napiwków było przyjemnością. Stracił wzrok w wypadku, ale dzięki sensorycznym czytnikom, umieszczonym w opuszkach palców, nie miał problemów z wykonywaniem pracy roznosiciela. - Dzień dobry, panie Loker - aż dziw, że mimo listopada nie trząsał się w sztywnym mundurku. - Paczka. Gospodarz wpuścił go do środka. Listonosz przekroczył próg z wyraźną ulgą - jednak był przemarznięty. Wystukał na pakiecie odbiorczym kod Lokera, ten zaś potwierdził dostarczenie przesyłki naciśnięciem odpowiedniego przycisku. Listonosz zręcznie zgarnął monetę, zsalutował i wyszedł. Ani razu się nie potknął, ani razu nie przytrzymał ściany. Znał przedpokój Lokera jak własny, od kilku lat bywał tu co najmniej raz w tygodniu. Loker spojrzął na przesyłkę. Z Nantes. Od niezawodnego Marcela. Dobrze spisuje się chłopisko, wydajny jak żaden inny agent. Pozostali tak się nie starali, ale też nie obiecał im tyle, co Marcelowi.

Uniósł spory, zadziwiająco lekki pakunek. Co też mówiono o nim na miejscowej poczcie - regularnie dostawał z całego świata nic nie ważące paki. Jak na tak niewielkie miasteczko, dobry temat do plotek.

Starannie umył ręce, zabrał przesyłkę i otworzył drzwi do piwnicy.

Drzwi do Warsztatu.

II - Niebo ciemnieje - rzekła Sigyn.

Rudowłosa nie zwrócił uwagi na jej słowa. Skazani na dwuosobową samotność, dokładnie wiedzieli, co drugie może powiedzieć. Miał więc zdecydowanie dosyć czulej żonki. Wkurzała go. Chyba nawet nienawidził jej, choć wiedział - Ogień mu świadkiem - że na to nie zasługiwała. Co począć, była niezdarna, głupia i za dużo szczebiotała. Zrobiła jednak coś, dzięki czemu potem jej nie zabił. Trzymała nad nim srebrną czarę, do której, zamiast na jego głowę, spływał żrący jad węża. Gada umieściła tam olbrzymka Skadi nienawidząca Rudowłosego. Za to, że przyczynił się do śmierci jej ojca. Też powód. Głupia suka. Więzy były dość długie, mógł więc zmieniać pozycje, ale na tyle krótko, iż nie miał co marzyć o oddaleniu się od skały, na której czuwał wąż. Co by zrobił bez Sigyn? Dobrze, że nie skreślił jej karku. - Słyszysz mnie? Niebo ciemnieje. - Słyszę, kobieto. No to co? Nie musisz się wydierać. Co wieczór ciemnieje.

Na pięknej twarzy odbił się niedorzeczny wyraz myślenia.

- Nie, to nie wieczór.

Nie miał zamiaru się sprzeczać. Zaczął zmieniać zdanie dopiero, gdy z wysoka, ze sfer niebieskich, dobiegło pianie koguta. Piał Gallinkambi. Piał dla Rudowłosego i jego potomstwa. Ogłaszał wolność!

- O żeż... - zaczął, ale odebrało mu mowę. Napiął mięśnie, próbując rozerwać więzy. Gównem z tego wyszło. Kochani kuzyni nie bez powodu sporządzili pęta z jelit jego własnego syna, żadne inne sznury nie oparłyby się jego mocy. Musiał zaczekać.

- Czy to znak? - zapytała Sigyn.

- Zgadłś.

- I co teraz będzie? Z nami? - W jej oczach czaił się strach. Wyglądała na kompletnie zagubioną. Ograniczona krowa.

- Nie płacz! Nic nie będzie. Chyba wiesz, że już niedługo nic nie będzie.

- Ale ja ciebie kocham! - rozryczała się na dobre. Naprawdę wzruszyła go. I zdobyłby się na ciepłe słowo, lecz nagle rozbrzmiał Zew Psa. Garm raczył wreszcie rozewrzeć mordę.

Wycie przebiło się przez korytarze Podziemnych Światów, by wtargnąć w natężałe oczekiwaniem powietrze. Jord-Ziemia wstrzymała oddech na mgnienie oka, zastygła w niemym oczekiwaniu - i ona zrozumiała, że zaczyna się taniec śmierci.

Krępujące Rudowłosego więzy rozsypały się w proch.

Przypomniawszy sobie smak wolności.

Wąż próbował uciec. Rudowłosego chwycił go i ścisnął. Gad rzygnął jadem, a potem wnętrznościami. Rudowłosego odrzucił sflaczałe ciało.

- Żegnaj! - krzyknął do Sigyn. I już go nie było.

III Zapalił światło i wszedł do chłodni. - Wita państwa wasz ulubiony manikiurzysta - rzekł z uśmiechem do dwunastu odświętnie ubranych osób. Leżały z zamkniętymi oczami na ruchomych katafalkach. - Dziś w chłodni, jutro w ziemi. Taki już los człowieka. Nucąc pod nosem jedną z podnoszących na duchu piosenek „Laibachu” (nie wiedział, dlaczego podobały mu się stare marsze najprawdziwszych z prawdziwych Słoweńców), przystąpił do zabiegu.

Nałożył cienkie rękawiczki, a z kieszeni wyjął cążki do paznokci. Jak zwykle nie musiał babrać się w brudzie. Zakład pogrzebowy Knuta Larssona znakomicie przygotowywał do ostatniej podróży. Czyszczenie paznokci wliczono w cenę. W końcu nieboszczyk leży podczas mszy z dłońmi splecionymi na piersi. Co by było, gdyby podchodzący członkowie rodziny ujrzeli brud za paznokciami. Strach pomyśleć.

Umarlak jest całkiem sztywny, nieźle się trzeba nabiedzić, żeby odgiąć mu łapę od brzucha. Loker nie musiał się do tego posuwać. Po prostu przekazywał ręką truposza trochę własnego ciepła. Zastygłe mięśnie tajały, ramiona stawały się miękkie jak stary pomidor. Dotykanie ich nie należało do przyjemności. Ale praca nade wszystko. Równiutko obcięte paznokcie chował do safianowego woreczka. Dwustuletni safian posiadał rzadką zaletę - wysysał z paznokci ostatnie ślady życia. Lokera nie interesowała zasada, na jakiej to się działo. Liczył się efekt.

Na następnym katafalku leżało młodziutkie dziewczę. Naprawdę szkoda, że tak piękne ciało się zmarnowało. Wykwity na dłoniach świadczyły o chorej wątrobie. Rak albo coś dziedzicznego - na alkoholizm dziewczyna była za młoda. Piękne ciało, piękne i paznokcie. Długie, zadbane. Do woreczka!

Na zakończenie podziękował zgromadzonym, wyłączył światło, żeby spoczywali w pokoju, i cichutko wymknął się z chłodni. Sto dwadzieścia paznokci - nieźle, jak na godzinę roboty. Mógł mieć dwa razy tyle, ale brzydził się dotykać nóg obcych ludzi. Przeważnie śmierdziały. Rzadko kto

umiera z wymytmymi girami. Zaniedbują tego i w zakładach pogrzebowych - nóg nie widać. Wystarczą skarpety i wyglansowane lakierki. Pełny szyk.

Mijając nocnego strażnika pozwolił, by odpłynął odeń sen. Nie chcemy przecież, by nasz ulubiony zakład pogrzebowy został okradziony przez przypadkową łajzę. IV Ze szczytu najwyższej wieży Utgardu Rudowłosa patrzył na opanowującą ziemię szaleństwo. Góry drżały, wstrząsane spazmami długo oczekiwanej przemiany. Budziły się, po tysiącletnim śnie, Skalne Olbrzymy. Rozprostowywały plecy, mrużyły oczy odwykłe od światła, wreszcie, niepewnie, stawały na kamiennych nogach. Pojawiało się ich coraz więcej, łączyły się w gromady i podążały na zachód, przeświadczone, iż tam dopełni się ich los.

Ziemia pękała. Głębokie jamy sięgające krainy umarłych pochłaniały wioski i miasta, lasy i jeziora. W miejsce żyznych pól, wypiętrzały się gorejące wulkany. Wypluwały z bezzębnych mord cały gniew Ziemi, mogącej wreszcie wystąpić przeciw depreczającym ją nieczystym stworzeniom.

Spienione morza wystąpiły z brzegów. Zachłannymi jezorami sięgały płaskowyżów, gniewne, iż nie udaje im się wdrzeć na szczyty. Z otchłani wodnych wynurzył się Jormungand, synek Rudowłosego. Ależ urósł od ich ostatniego spotkania! Nie odznaczał się pięknnością, urodę odziedziczył po matce, dziewięciusetgłowej olbrzymce. Miał, co prawda, tylko jeden łeb, ale za to jaki - jego paszcza mogłaby połknąć tuzin wielkoludów. Wężowe cielsko zwijało się w konwulsjach bólu - rósł cały czas, od momentu wynurzenia utył trzykrotnie. Na grzbiecie pojawiły się dwa bąble, puchnące niczym wrzody. Pękając, uwolniły czarne błony skrzydeł. Jormungand znieruchomiał i odpoczywał, czekał go daleki lot, wprost na podniebne pola boskiego Asgardu. Z północy nadchodziły karne zastępy Oszronionych Olbrzymów. Wyłoniły się ze śnieżnej zadymki. Brody i krzaczaste brwi oblepiał im lód. Podmuchał Lodowych Pól mroził wszelkie przejawy życia na ich drodze. Zaś z południowych kresów nadciągało czyste szaleństwo - Płomienni Giganci. Niesforni i krzykliwi, kłębili się niczym pożar na pokładach kamiennych statków - tylko takie okręty mogły znieść żar, wypełniający ciała olbrzymów. Rudowłosa uśmiechnął się, patrząc na rozpalonych braci. Był jednym z nich mimo ogromu czasu spędzonego w gronie bogów, nie zapomniał o swym pochodzeniu. Wściekły warkot zmusił go do spojrzenia na wschód.

Przybiegał na wezwanie inny z jego synów, wilk Fenrir. Wielcy bogowie tak się go bali, że zakuli biedaka w czarodziejskie kajdany. Ale do czasu. A czas właśnie nadszedł. W dwóch susach wbiegł Fenrir na szczyt wieży, usiadł koło ojca i chlasnął go po twarzy zaślinionym ozorem. Rudowłosa ukrył obrzydzenie, nie chciał obrażać syna, który z radości stawał się nieobliczalny.

Na szczęście przerwał te czułości donośny dźwięk, rozbrzmiewający po krańce świata. Fenrir wstrząsnął się z nienawiścią. Ojciec także nie cierpiał brzmienia magicznego rogu boga Heimdalla. Oznaczało ono wszakże, iż pod murami Asgardu zbierają się zastępy świetlistych Alfów i oddziały tysięcy najdzielniejszych wojowników, biesiadujących dotąd beztróska w pałacach Odyna i Freyi. Zatem obrona podniebnej twierdzy została przygotowana. To dobrze, już wkrótce zacznie się zabawa.

Rudowłosa rzucił ostatnie spojrzenie na zmierzchający, miazdżony kataklizmami świat. Niech ginie, po odrodzeniu będzie należał tylko do niego. V Narodową cechą Francuzów jest dłubanie w nosie. I to nie dyskretne, gdy nikt nie patrzy. Gdzie tam! Wpychają pół łapy do nosa - na ulicy, w hotelu czy też jak tutaj, w restauracji. Słodka tradycja.

Frederik przygotowywał się wewnętrznie do mającej nastąpić akcji. To znaczy spokojnie popijał kawę. Działała uspokajająco, a jednocześnie mobilizowała go do działania. Skinął na kelnerkę.

- Jeszcze jedną. Z mlekiem. I może małe lody. Skąd pomysł, żeby poprosić o lody? Zabawne. Nie jadł ich od dzieciństwa. Ulubionych waniliowych. Ojciec kupował mu je zawsze w cukierni, tej przy kościele. Uszczęśliwiony Frederik zaczynał wtedy rozprawać, jaki będzie sławny. Naprawdę, marzył o sławie. Facet pojawił się z dokładnością znamionującą pedanta. Lub szaleńca. Nazywał

się Marcel Dideau, niższy urzędnik merostwa. Jak co dzień, punkt siódma odwiedzał „La Taverne Kronenburg”. Kawaler, mieszkający samotnie. Nieposzlakowana opinia.

Frederik zawsze zdobywał podstawowe wiadomości o ludziach, których dotyczyło zlecenie. Biznesmeni, handlarze bronią, politycy. A tym razem niższy urzędnik miejski. Postać bezbarwna, z przeszłością schematyczną jak japońska kreskówka. Zmęczone oczy, równo przystrzyżony wąsik, szary, stary garniturek, pochylone plecy. Miernota. I takiego człowieka miał zlikwidować.

Zapewne Dideau naraził się komuś odmową przyznania zapomogi inwalidzkiej. I dlatego musiał zginąć. Marcel Dideau wypijał małe piwo - bodaj jedyny alkohol, na jaki sobie pozwalał - i przegryzał ciastkiem z marcepanem. A potem podnosił się ciężko i powoli ruszał do domu. Mieszkał obok, w sąsiedztwie Zamku Księżąt Bretońskich.

Frederik wyniósł się zaraz po nim. Dopilnował, czy urzędnik wejdzie do domu i czy w jego mieszkaniu zabłyśnie światło. Zabłyśło. Mógł powędrować do hotelu. Wróci wieczorem.

Zatrzymał się w Hotelu St.-Louis, tanim, ale za to nie rzucającym się w oczy. Tutaj nie będą go szukać policjanci wychowani na lekturze książek sensacyjnych, w których zawodowi mordercy wynajmują apartamenty w Hiltonach i każdego dnia zmieniają garnitury, szyte na zamówienie w ekskluzywnych domach mody. Owszem, Frederik znał dwóch gości z branży, zachowujących się w ten sposób; po krótkiej karierze przenieśli się do mniejszych apartamentów, z wąską pryczą i zakratowanym okienkiem.

Sprawdził dokładnie pistolet, przykręcił tłumik do gwintu przedłużającego lufę. Mały nóż schował do tylnej kieszeni. Jak dotąd nie musiał korzystać z białej broni, wszystko udawało się załatwiać szybko, bez brudzenia rąk. Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Przejrzał ostatni numer „Playboya”, a potem, czując pierwsze oznaki napięcia, pomodlił się szybko. W prostych słowach poprosił całą Trójcę Świętą o opiekę i pomyślność w działaniu. Duszę polecił baczeniu świętego Jerzego, patrona samotnie walczących.

Uśmiechnął się do zmęczonej recepcjonistki.

Zerwała się z krzeselka i przywołała go gestem.

- Jest do pana list - oznajmiła uprzejmie. Zesztywniał. Nikt nie wiedział, gdzie zamierzał się zatrzymać.

Odebrał przesyłkę, wręczył dziewczynie skromny napiwek, ale nogi się pod nim ugięły. Coś zgrzytnęło w mechanizmie dokładnie dotąd uporządkowanego świata. Zatrzymał się pod najbliższą latarnią. Rozerwał kopertę. Głęboko odetchnął, nim spojrzał na pismo. Następny: William H. Bennert, malarz, Glasgow.

Powodzenia. Pieniądze wpłynęły na twoje konto.

H.O.D.

Niczym uspokajającą kołysankę powtarzał w kółko grube przekleństwa. Jako człowiek dobrze wychowany nigdy by ich nie wymówił pełnym głosem.

H.O.D. Zleceniodawca. Facet musiał wiedzieć wszystko, a Frederik nie lubił, jak go szpiegowano. Coś tu śmierdziało. I to wcale nie od kloszarda, którego właśnie mijał.

VI Jedno Lokera niepokoiło w otaczającym świecie:

ogień przestawał być potrzebny. Niepojęte. Najprzyjaźniejszy ludziom żywioł, dzięki któremu wydostali się z bagna zezwierzęcenia, wyparły namiastki. Ceramiczne kuchenki (należały do nielicznych mieszkańców miasteczka, którzy zachowali staromodne modele gazowe), laserowe zapalniczki, świece z fantomatycznym płomieniem. Nawet skauci, idąc z duchem czasu, zrezygnowali z wieczornych ognisk. Śpiewali pieśni przy blasku przenośnych i superbezpiecznych

kominków na energię słoneczną. Ogień wyszedł z mody. Jeśli słyszało się o pożarze lasu, musiał to być odosobniony przypadek karygodnego zaniedbania, możliwego jedynie w Czwartym Świecie.

Dlatego, po latach zagubienia w coraz dziwniejszym otoczeniu bezmyślnie wypierającym się własnych korzeni, postanowił zbudować Statek. Jeszcze raz, po tysiącletniach, wznieść Okręt, który poniesie go na podbój niebios i przywróci zapomnianą władzę. Sens istnienia. Ciepło ognia.

VII Wbrew wcześniejszemu planowi Frederik wybrał się na spacer. Pragnął nabrać w płuca orzeźwiającego, nocnego powietrza, by wyprostować zwichrowane kanały nerwowe. Tuż za placem Neptuna wkroczył między parkowe drzewa.

Musi się wziąć w garść. Usiadł na ławeczce. Ma opłaconą już robotę do wykonania i, choćby Chińczycy i Rosjanie razem wzięci zaatakowali, wykona zlecenie. Cóż go obchodzi, kim jest zleceniodawca i skąd wie o rzeczach, o których nie powinien wiedzieć. Umowa to umowa.

Wystarczająco długo wypracowywał swój zawodowy imaż, by teraz przez byle głupotę psuć sobie opinię.

Spokojnym, odmierzonym krokiem człowieka pewnego swego zawrócił ku Zamkowi Książąt. Zbył lekkim ruchem dłoni prowokacyjną prostytutkę. Ręce przestały mu drżeć. Z zadowoleniem stwierdził, że jest gotowy. Z domofonem uporał się w stary sposób. Nacisnął kilkanaście przycisków jednocześnie. Rozbrzmiał zmieszany chór pytających głosów. Zawsze znajdzie się taki, co otworzy.

Stwierdził z ukontentowaniem, że schody zostały niedawno umyte, a poręcz wyglansowana. Frederik lubił czystość, sprawiała mu przyjemność praca pośród zadbanego otoczenia. Był wtedy jak operujący doświadczony chirurg, który nie rozkroi brzucha pacjenta, póki pomieszczenie nie będzie dostatecznie sterylne.

Na każdym piętrze znajdowały się wejścia do dwóch mieszkań. To ułatwiało sprawę, w razie potrzeby mniej uszu i oczu do zamknięcia. Ale taka konieczność jeszcze mu się nigdy nie zdarzyła.

Taśmą samoprzylepną zakleił wizjer sąsiadów

Dideau. Z namaszczeniem sprawdził i odbezpieczył pistolet. Drzwi mogły zostać obite metalem od wewnętrznej strony, więc postanowił nie ryzykować. Przystawił lufę z tłumikiem do judasza. Chwila na oddech. Lekko wcisnął przycisk dzwonka.

Stłumione szuranie kapci. „Papucie, fotelik i niebieska szklanka” - pomyślał Frederik. - Kto tam?

- Vincent - odparł bezakcentową francuszczyzną.

- Vincent? Nie znam...

Tak, jak przewidywał scenariusz, Dideau postanowił obejrzeć twarz niespodziewanego gościa.

Ledwo słyszalny zgrzyt pokrywy od wizjera.

Ledwo słyszalny strzał.

Ledwo słyszalny odgłos walącego się ciała.

Robota wykonana.

Zamiast zmyć się od razu, postanowił wejść do mieszkania. Przecież facet nie żył, żydowski Desert Eagle New Version z bliskiej odległości rozrywał delikwentowi połowę głowy. Istniała stuprocentowa pewność co do efektów tak przeprowadzonej operacji. A mimo to chciał wejść do mieszkania niepozornego urzędnika. Właśnie dlatego, że Marcel Dideau był nikim, kogo warto by sprzątnąć. Otworzenie wytrychami dwóch prostych zamków okazało się dziełem chwili. Łańcuch wystarczyło przestrzelić. Przyjrzał się nieboszczykowi. Perfekcyjna robota. Lewej części twarzy brakowało. Pierwszy pokój wyglądał na zwyczajną garderobę, pełną podniszczonych garniturów i czarnych, ortalionowych płaszczy z kapturem. Dziwny zestaw. Środkowy pokój został zajęty przez krzesła i stół. Na blacie stało spore tekturowe pudło, a obok papier pakowy. Tym musiał się

zajmować Dideau tuż przed. Frederik zajrzał do środka paczki. Pełno plastikowych torebek z zamkiem zatrzaskowym, a w środku coś trudnego do zidentyfikowania. Paznokcie. Setki paznokci. W większości obciętych, ale też wyrwanych z ciałem, choć bez śladów krwi. Morderca stał dość długo, nie pojmując, co właściwie ogląda. - O, ty...- wymruczał wreszcie, zduszając, jak zwykle, przekleństwo.

Ten gnojek wyrywał je ludziom! Dziesiątkom ludzi. Pieprzony zboczeniec! Frederik z wrażeń usiadł na krześle i nieświadomie sięgnął po, stojącą na stole, filiżankę parującej kawy. Wstrzymał rękę. Tego brakowało, by pił po psychopacie.

Trzeci pokój okazał się kilkakrotnie większy. Dwie ściany w całości zostały obstawione ciężkimi szafami z ciemnego, orzechowego drewna.

Otworzył pierwszą. Przymknął powieki i przełknął ślinę. Podeszedł do drugiej, potem trzeciej i następnych. Wycofał się na środek pokoju i nerwowo zachichotał. Wszystkie, od góry do dołu, wypełniono małymi słoiczkami, w których pływały ludzkie oczy. Zachowywał taki spokój, że aż zaniepokoił się o własne zdrowie. Gdyby był normalny, wyskoczyłby z mieszkania z wrzaskiem. Ale chyba zwariował, bo stał i bezmyślnie patrzył na tysiące obserwujących go gałek ocznych. Wyszedł, gasząc światło. W łazience zdjął rękawiczki i długo mył ręce, cały czas wpatrując się we własne odbicie. Nie zdecydował się na wytarcie rąk w wiszący obok ręcznik. Dopiero dwie przecznice od domu Marcela Dideau przyspieszył kroku. Potem pobiegł. Jak najszybciej znaleźć się w hotelu. I wejść pod prysznic. Umyć się. VIII Te zidiociałe syny kamiennych suk, Skalne Olbrzymy, nie posłuchały rozkazów! Wkroczyły ciężkimi, pokracznymi cielskimi na tęczowy most Bifrost. Strażnik tęczy, świetlisty Heimdall, cofał się na tyle wolno, by ociążałe głupole nie straciły go z oczu i mogły się zapamiętać w pościgu za pojedynczym wrogiem. Rudowłosey nie podejrzewał, że Heimdall zdolny jest do podobnego fortelu. Mądry wprawdzie był i silny, ale jak dotąd nie wykazywał się błyskotliwością. A tu masz! Głupie Skalniaki niemal wszystkie zapędziły się aż na Bifrost w pogoni za strażnikiem mostu. Tylko na to czekał. Gdy poczuł pod nogami pewny grunt podniebnego osiedla bogów, Asgardu, ciął mieczem w Bifrost.

Jedna chwila i tysiące Skalnych Olbrzymów leżało nieżywych w prochu ziemi, z której dopiero co się odrodziło. Nawet trudno rzec: leżało. W ogromnym gruzowisku spoczywały ich potrzaskane szczątki. Nie dawało się rozpoznać głów ni nóg. Zwykle, połupane głazy.

Rudowłosey wydał rozkaz.

Wybrzeże ożyło. Mrowie milczących synów

Jotunnheimu, ponuraków marzących o dobraniu się do tyłka bogom, a szczególnie boginiom, brodziło po pas w morskiej wodzie, by wdrapać się na pokłady statków. Na czele kroczył nieborosły Hrym, dzierżący kamienną tarczę. Tepak, za to wierny Rudowłosemu jak pies.

Na Rudowłosego czekał flagowy Naglfar, okręt, jakiego świat nie widział. Mieścił pięciuset olbrzymów, a mimo to pruł fale z niespodziewaną chyżością. Rudowłosey stworzył go z ciał umarłych, a za spoinę posłużyły mu nie dotrzymane przysięgi, które gromadził przez tysiąclecia. Fenrir przywarował u stóp ojca, obnażał kły i toczył pianę z pyska. Rudowłosey musiał go uspokajać, wilk gotów był bowiem z niecierpliwości skoczyć do morza i ruszyć wplaw.

Skierowali dzioby okrętów ku wyspom na środku świata. Nie uświadczyłbyś wtedy na nich żywego ducha, ale Rudowłosey wiedział, że staną się miejscem walki. Bogowie i ich zastępy musieli w końcu zejść z wyżyn Asgardu. Musieli przystąpić do bitwy. Ale czy wybiorą wyspy? Tak podpowiadał Rudowłosemu instynkt padlinożercy, wyczuwającego długo przed walką, gdzie znajdzie ofiary.

IX Loker lubił wyrwać się czasem z zastałej atmosfery podsztokholmskich miasteczek, stanowiących główny teren jego łowów. Wybierał wtedy metropolię, gdzie jeden człowiek nic nie

znaczył. Ukryty w pędzącym tłumie, w cieniu gmaszysk, przemykał gąszczem uliczek, nie obawiając się rozpoznania. Wprawdzie nienawidził tłumu i cywilizacji, ale doceniał ich zalety - na plaży nie rozpoznasz drobin piasku. Za dnia chadzał do muzeów prezentujących dawną sztukę. Wytwory nowoczesnych malarzy czy rzeźbiarzy nie przypadły mu do gustu. Nie niosły nic pod zewnętrzną powłoką, ni cienia bazy filozoficznej, nadającej kierunek jednostce, uważającej się za myślącą. Nowoczesność oznaczała nihilizm albo popłuczyny po postmodernizmie, a ten sam był popłuczyną po poprzednich epokach. Hybryda, nie rodząca płodnych nasion.

Po dniu spędzonym w zaciszu muzealnym przychodziła pora na nocne kluby. Dawno zniesiono śmieszna odmianę prohibicji, przysparzającej bogactwa bimbrownikom, toteż alkohol lał się strumieniami, Był jak świeżo odzyskana wolność, którą trzeba się upoić ponad miarę. Knajpa nazywała się „Kamieniołom” i tak też została urządzona - ściany z masy wapiennopodobnej, stoły z bali kozikiem rzezanych, nieokrzesani kelnerzy i goryłopodobni ochroniarze. Ci wyglądali jak wyrokowcy z więziennych kamieniołomów.

Niespiesznym krokiem przemierzył salę, taksując panienki znudzonym wzrokiem. Zajęte i wolne. Luzacko rozpiął guziki dwurzędowej marynarki i zasiadł na wysokim stołku przy barze.

- Absolut. Białe.

- Pięćdziesiątka czy setka?

- Butelka - Dobrze wiedział, że takie zachowanie zwróci uwagę dziewczyn. Mało kto na wejściu zamawiał trzy czwarte litra wody. Na jedną osobę. Bez lodu. Bez popitki. Wiedział, co będzie się działo. Po trzech głębszych panienki stracą zainteresowanie jego osobą, pewne, iż przyszedł zalać robaka. Gdy skończy butelkę i, nie zdradzając oznak upojenia, zamówi następną, będzie już sensacją. - Drugą, mniej schłodzoną.

Ktoś otarł się o jego ramię. Odwrócił głowę. Obok usiadła młoda osobka. Blondynka, język, ostra tapeta, dekolt, mini, pończochy, koturny. Standard. Spojrzała na niego prowokacyjnie, a gdy się nie odezwał, walnęła prosto z mostu.

- Moje koleżanki chciałyby cię poznać - głosik miała przyjemny. Warstwa postarzającego makijażu kryła oblicze siedemnastolatki.

Loker zlustrował owe koleżanki. Trzy standardy. - I przyszłaś tylko po to, by im zrobić przyjemność? - zapytał rozbawiony.

- No... nie. Wszystkie chciałyśmy z toba porozmawiać. Wbrew zasadom, zwykle nie zabierał się za malolaty, skinał głową. Coś, jakby przecucie, skłaniało go do tego kroku.

Przedstawił się, a one jemu - nawet nie zapamiętywał imion. Zamówił, co chciały, po czym zaczął je bawić rozmową. Jak zwykle nie było to trudne. Śmiały się z każdej głupoty.

Przyglądał się paznokciom delikwentek. Długie, zadbane. Nagle aż nim zatrzęsło. Ta siedząca naprzeciw miała paznokcie pomalowane trzema kolorami - czarnym, czerwonym i żółtym. Cieniutkie pasma układały się w skomplikowany wzór tańczących płomieni. Wybrał - ta.

Żagiel utkany z ognia.

- Może dalej byśmy się zabawili u mnie, w hotelu - zaproponował. Interesowała go tylko jedna, ale doskonale znał podobne siksy; albo zabierze wszystkie, albo żadna nie pójdzie.

Błyskawicznie porozumiały się rozpalonymi spojrzeniami. Na to tylko czekały.

- A dasz radę? - spytała najniższa, przybierając uwodzicielską minę.

Zbył ją wzruszeniem ramion.

- Najpierw pokaż świadectwo badań na HRG - powiedziała ta z paznokciami w płomieniu.

Tego się nie spodziewał. No cóż, znak czasu, każdy się boi wirusa zabijającego w trzy miesiące. Powolnym ruchem sięgnął do kieszeni i wydobył folder z Muzeum Wazów. Podając go, uważnie wpatrywał się w twarz dziewczyny. Przeczytała na głos orzeczenie lekarskie o negatywnym wyniku badań, po czym oddała reklamówkę. - OK - odparła - Idę.

Żagiel utkany z ognia znajdował się w zasięgu ręki. Długo czekał na tę chwilę.

X Frederik zwiedzał Salę Niebieską galerii

„Prestige” w Glasgow, przyglądając się zwłaszcza obrazom Williama H. Bennerta.

Zauważywszy jego zainteresowanie, opiekujący się salą młody Hindus pospieszył z wyjaśnieniem, że nie ma przy pracach tabliczek z cenami, gdyż Bennert umarł dzisiejszej nocy i specjaliści pracują nad nową wyceną. Frederik spokojnie wysłuchał go i odprawił znudzonym ruchem głowy. Każde płótno zawierało paraliżującą dawkę nienawiści, strachu, rozpacz i bólu. Frederik miał ochotę czym prędzej stąd uciec już po obejrzeniu pierwszego obrazu, wszakże dziwna siła, także niezdrowa ciekawość, kazały mu przenosić spojrzenie z jednej chorej wizji na drugą. Płótna bez mała abstrakcyjne nie przedstawiały konkretów - spazmatycznie porozciągane plamy, ciemne tła, spośród których eksplodowały rozbryzgi jaskrawych kwiatów o okaleczonych płatkach. Smugi komet kończące się błyskiem czerni. Zniekształcone maski topniejące w ogniu zżerającej je nienawiści.

Frederik nie wątpił, że można się zachwycać takimi obrazami. Miały siłę i wyraz, nawet jeśli oglądający nie wiedział, co przedstawiają. Frederik wiedział. Poprzedniej nocy odwiedził szanownego kolegę Williama H.

Bennerta, by zanieść mu pozdrowienia od tajemniczego H.O.D. Krótka znajomość z malarzem zakończyła się dwoma naciśnięciami spustu. I znów Frederik nie zdołał opanować ciekawości. Przeszukał willę, łącznie z rozległymi piwnicami. Tam znalazł rzeczy, których oczekiwał. Jedno z pomieszczeń wyłożono specjalną masą pochłaniającą dźwięki. I rzeczywiście, wielu ludzi musiało tam wrzeszczeć. Malarz wypełnił pokój dziwnymi maszynami do zadawania cierpień. Wyglądały na samoróbki - miały tyle elementów, przekładni, dźwigni, kołców, prętów, łańcuchów, trybów, że Frederik nie odgadł przeznaczenia połowy z nich. Jednak, bez wątpliwości, służyły do tortur i powolnego wytaczania krwi; całą podłogę pokrywały ciemne plamy, niektóre Bennert wyraźnie próbował usunąć, ale zbyt głęboko wżarły się w beton.

Ciekawe, czy płótna obrazowały cierpienia, jakie zadawał ludziom, czy też odwrotnie, najpierw powstawały dzieła, a potem Bennert przerabiał ich treść na ludzkich ciałach?

Frederik próbował podchodzić do sprawy z zawodowym spokojem, ale mu nie wychodziło. Przerażali go psychopaci, przerażał zleceniodawca i ta, zapewne słuszna, choć dziwaczna kruczata przeciw wielokrotnym mordercom. Kim do licha jest H.O.D? Wysłannikiem niebios, zamierzającym uwolnić ludzkość od plagi prześladowającej wielkie miasta od co najmniej dwustu lat? Czemu wybrał za swe narzędzie właśnie Frederika? A może sam był świrem, seryjnym zabójcą, czerpiącym przyjemność z mordowania rękami innych? Frederik zaklął.

Wszystko było bardzo skomplikowane. W domu Bennerta natrafił na kolejny zastanawiający szczegół - opieczętowaną paczkę z paznokciami. Brakowało tylko adresu odbiorcy. Ale i na to był sposób. Długo szukał, aż znalazł należący do malarza kalendarzyk z adresami. Wprawdzie widniało w nim ze dwieście pozycji, ale Frederika to nie załamało. Miał pewność, że następne akcje dostarczą nowych notatników, które będzie mógł ze sobą porównać. A jeśli nie, wydusi tę informację z któregoś z następnych pacjentów. Nie wiedział, po co robi te plany, chyba znowu chorobliwa ciekawość. Zaś ciekawość to rzecz niemile widziana przez zleceniodawców. I nie mająca nic wspólnego z profesjonalizmem.

XI Komisarz Henryk Zuber sądził, że nic go nie zdoła zaskoczyć. Dwadzieścia siedem lat pracy w milicji i policji, a potem osiem w Unipolu obciążały jego wspomnienia nie gorzej niż obrazy zarejestrowane podczas rewolty w Katandze, zaś dwunastnicę ozdobiły uwierającym łańcuszkiem wrzodów. Zasadniczo widział już wszystko. A tu nagle okazało się, że skierowano go do sprawy równie fascynującej, co beznadziejnej.

Nantes, Glasgow, potem Ameryka, Północna Afryka, znów Europa - szlak wyznaczany kulami wystrzeliwanymi z tego samego pistoletu, a właściwie półarmaty. Cóż, zdarzało się i wcześniej, że Unipol natrafiał na truposzy będących ofiarami jednego najemnego mordercy. Zwykle sprawy okazywały się nierozwiązywalne i nikt nie chciał ich podejmować. Tym razem zbrodnie popełniano w odstępach co najwyżej dwutygodniowych, a ofiarami okazywali się od dawna poszukiwani wielokrotni mordercy. Wampiry w ludzkiej skórze, jak piszą w brukowcach.

Zuber domyślał się, dlaczego wtryniono mu to dochodzenie. Niedługo emerytura, a nie ma przecież sensu obarczać niepowodzeniem świeżo upieczonego, dobrze rokującego śledczego. Tu zaś niepowodzenie murowane. Już teraz nie tylko tabloidy, ale nawet gazety „wysokich lotów”, rozpisują się o nagłym pomorze zbrojeńców, o „czyszcicielu moralnym”, o krucjacie. Dziennikarze domagają się od służb, by wspomogły najemnego mordercę, a w każdym razie, by mu nie przerywały, aż zeszkobie z twarzy świata łajno zbrojenia. Bzdury. Tajemniczy krzyżowiec stanowił podobne zagrożenie jak jego ofiary. Czy działa na zlecenie, czy sam jest wariatem - nigdy nie przestanie zabijać. Dla przyjemności albo pieniędzy - jak wilk. Henryk miał się za dobrego owczarza, tyle że starego i zmęczonego beznadziejnym pościgiem. Jeśli w najbliższym czasie nie znajdzie punktu zaczepienia, poda się do dymisji. Po kiego grzyba mu zawał. XII Pogorzelsko. Poczynając od najdrobniejszej trawki, przez drzewa, a kończąc na olbrzymich skałach - wszystko uległo gniewowi bogów. Świat przestał przypominać siebie. Wszędzie trupy. I smród. Ten widok przerażał nawet Rudowłosego.

Tutaj leży Odyn, najwyższy z bogów, brat krwi

Rudowłosego i przezeń zdradzony. Zagryzł go ukochany synalek Rudowłosego, Fenrir. Wypełnił swoje zadanie i zaraz potem zginął z ręki odynowego bękart, Widara. Tam, na szczycie góry, widnieje Thor, najsilniejszy z silnych, spowity w węzowe zwoje Jormunganda. Młot, broń Thora, tkwi wbity pomiędzy zagasłe oczy drugiego syna Rudowłosego.

Na brzegu wyspy spoczywają naprzeciw siebie piękny Frey i ognisty Surt. Pierwszy, głupiec, oddał swój magiczny miecz słudze w zamian za narajenie dziwki, przez co musiał walczyć jelenim rogiem. Drugi to brat Rudowłosego. Wciskają okaleczone twarze w piasek, jakby spali, z głowami przytulonymi do łona matki ziemi.

Naglfar płonie i nawet Rudowłosy, władca ognia, nie może zdusić przeklętego żywiołu. Maszt, z żaglem wyobrażającym płomienie, leci na pokład, burty się rozpadają, nędzne resztki najwspanialszego statku świata pożera chciwa woda. Nie ma ucieczki. Zresztą, po co uciekać, skoro czas się dopełnia. Aby świat w bólach się odrodził, wszyscy muszą zginąć.

Wybrzeżem podąża ku Rudowłosemu zgarbiona starucha, a woda obmywa jej stopy. Nie spieszy się. Tak, mężczyzna ją poznaje. To Urd, Norna, Pani Przeznaczenia. Czego to próchno może od niego chcieć? - Loki, wiem, że tu jesteś - pokryte bielmem oczy wpatrują się w twarz Rudowłosego.

Nie cierpiał jej. Od zawsze. I bał się. - Jestem, jestem. Nie mów tylko, że chcesz rozgrzać swoje zimne kości o moje ciało.

- Głupcze, nie ośmieszaj się. Nigdy nikomu nie potrafiłeś dać ani ciepła, ani szczęścia. - Wynos się - warczy, odwracając głowę. - Odejdę, ale najpierw mnie wysłuchasz. Znam przeszłość, przyszłość widzę, bogów zmierzch, zwycięzców upadek. Jam jest wolwa-wieszczka. Znam też twoje plany.

Bądź dobrej myśli - ty odrodzisz się, a nawet odzyskasz część swej mocy. Ale musisz wiedzieć o jednym. Jego strach rośnie; nie może patrzeć na nią bez drżenia.

- No, szybciej?

- To prawie wszystko. Wystarczy, byś przypomniał sobie ostatnie słowa „Przepowiedni o Upadku”:

Widzę jak znów się wyłania
Ziemia z morza, zieleniejąca;
Lecą wodospady, a orzeł nad nimi,
Ten, co w górskiej krainie ryby łowi.
Wtedy przyjdzie Wielowładny, co sądzi,
Wszechmocny na Wysokościach, co rządzi.
Zasiądzie na tronie potrójnym,
Gniew i miłość okaże.

Odwróciła się i ruszyła ku swemu plugawemu legowisku w trzewiach ziemi.

- Stój, zaczekaj! Wytłumacz! - chciał ją zatrzymać, ale nie potrafił wykonać kroku. A Urd oddalała się, aż zniknęła pośród skał.

Wiał ciepły wiatr. Przyniósł przytłumione słowa, na które czekał Rudowłosy.

- Loki, jestem!

Ze wzgórze schodził świetlisty Heimdall. Bez hełmu, kolczuga zwisała na nim w strzępach, ale nadal wyglądał jak syn jasności. Rudowłosy zawsze mu tego zazdrościł.

- Tylko my zostaliśmy - szepnął, gdy stanęli naprzeciwko siebie.

Heimdall skinął głową. Jak zwykle zachowywał powagę. - Odyn przykazał, bym nim cię zabiję, przypomniał ci zło, jakie nam uczyniłeś. Ale rzeknę tylko o jednym: zabiłeś naszą jedyną nadzieję, słonecznego Baldra, kierując dłonią jego brata, Ślepego Hoda, który zawierzył ci, myśląc, że to tylko zabawa...

Rudowłosy nie cierpiał jego patetycznego tonu, toteż mruknął ze znużeniem.

- Wystarczy. Kończmy to.

Przebili się mieczami, żaden nie próbował parować ciosu przeciwnika. Nic by to nie dało. Rudowłosy leżał na piasku, jeszcze przez chwilę widząc ciemniejące niebo. Po przestworzach dryfował Asgard, pusty teraz i cichy, zerwany z kotwicy Bifrostu płynął w nieznane, by nigdy nie wrócić.

Urd osiągnęła cel. Zasiała w Rudowłosym ziarno niepewności, które wzrosło w roślinę strachu. Nic już nie było dla niego tak jasne jak przed zmierzchem bogów. Niepewność miała mu na zawsze towarzyszyć. Wszechmocny... zasiądzie na tronie potrójnym.

XIII Okazały się nawet niezłe. Widać nie pierwszy raz urządziły sobie randki w łóżku z nieznajomymi. Rozumiały się w pół słowa, bez wahania zmieniały się miejscami i rolami. Tak go rozgrzały, że niemal zapomniał, po co sprowadził je do hotelu. Oprzytomniał go dopiero na stwierdzenie tej z paznokciami w płomienie, że chyba powinny się zbierać. Na to nie mógł pozwolić. No, i zabawa się nie skończyła.

Kiedy wychodził nad ranem, pretensjonalnie staromodne elektryczne świece na żyrandolu służyły teraz za pale, na które wbił cztery krótko ostrzyżone dziewczęce główki. Wymeldował się z hotelowej księgi, gdzie figurował jako Christer Pettersson; ciekawe, że nikt w Szwecji zdawał się nie pamiętać, czym rozślawił się człowiek o tym nazwisku. Później spokojnym krokiem skierował się do postojni taksówek. To właśnie uwielbiał w Grand Hotelu - żadnych pytań, wszyscy dyskretni i mili. A jaki widok na Gamla Stan - Stare Miasto! W kieszeni miło ciążył safianowy woreczek,

zawierający jeden tylko komplet paznokci. Nowy Naglfar potrzebował ognistych żagli, by móc się poruszać wśród piekielnych odmetów. Teraz je dostanie.

XIV Cincinnati, Cali, Aracaju, Oran i znów Europa - Lyon (Gilles Moirin, ten schizol, okazał się ciekawym przypadkiem - zabijał tylko dwudziestodwuletnie rudowłose dziewczyny i rzucał ich dłonie, wcześniej pozbawione paznokci, swym czterem psom), Lozanna, Mediolan, Innsbruck. Nie istniało chyba miejsce na świecie, gdzie by nie zbierano paznokci. Powszechne szaleństwo. Albo dobrze koordynowany, przemyślany plan.

Oczywiście, w kilku notatkach Frederik natrafił na jeden zbieżny adres, ale odczytanie go okazało się niemożliwe. Wszędzie został zapisany tym samym kodem liczbowym - Frederik spędził parę nocy nad kilkunastoma cyframi, jednak nie na wiele się to zdało. Na deszyfrancie się nie znał, matematyki umiał tyle, by móc kontrolować stan własnego konta. W końcu wrzucił notatniki do kosza. Nic z nich nie wyciągnie. Musi zmusić kogoś do mówienia; pozostała jedna tylko szansa - tajemniczy H.O.D. przesłał wiadomość, że ostatnią ofiarą ma być Piotr Bołtuć, Warszawa, redaktor poczytnego katolickiego dziennika, należącego do koncernu EDPS.

Warszawa. Cholera, ciekawe, czy tam znają jakiś ludzki język?

XV Henryk Zuber zmęczonym wzrokiem powiódł po innsbruckich domach. Nawet ładne miasto. Zwiedził ostatnio więcej świata niż przez całe życie. Szkoda, że tak późno, po śmierci żony mało go cieszyło, a jej spodobałby się klimat Cali. Kiedy zlikwidowano tamtejszy kartel narkotykowy, zrobiło się z miasta całkiem przyjemne turystowisko. Pod słońce przypatrzył się plastikowej torebce z paznokciami. To i zwyrodniałe ofiary było cechą wspólną wszystkich przypadków. Po Glasgow kazał sobie nadesłać listę miejsc, gdzie zanotowano ostatnio wyrwanie ofiarom paznokci. Trochę się zezłościł na głupotę informatyków - zjawily się doniesienia o politycznych torturach (sporo małych bananowych dyktatur), a także o kolekcjonowaniu paznokci dla celów magicznych (Afryka, Azja i Ameryka Południowa). Odrzucił te śmiecie. Pozostało kilkanaście miejsc w Europie, Ameryce i Północnej Afryce. Trop okazał się celny, teraz, jak po sznurku, podążał do wyznaczonych miejsc, tyle że zawsze przybywał drugi. Krzyżowiec bez pudła trafiał na zbrojeńców. Jakby miał dokładne zamiary. Komisarz takich zamiarów nie posiadał, wiedział tylko, że na obszarze sto na sto kilometrów grasuje seryjny morderca. I tyle.

Wskazówkę mogłyby dać wykazy celne ludzi przekraczających granicę, ale to kiedyś. Gdzie te czasy, gdy wiele krajów prowadziło podobne ewidencje. Teraz, po częściowym zjednoczeniu Europy i po kilku etapach konsolidacji z Ameryką, nie ewidencjonowano czasowego obrotu osób. Jedna wielka kaszanka.

Na liście widniała tylko środkowa Szwecja. Wcale nie mały obszar. Pozostawało wpakować się z ekipą do samolotu i lecieć do Sztokholmu. I siedzieć tam na dupie, czekając na zmiłowanie boskie, bo co innego pomoże. Zagadka przeznaczenia paznokci? - Ofiary krzyżowca zbierały je nieprzypadkowo, przygotowały się też do ich wysyłki. Kto oczekiwał i do czego potrzebował takiej dostawy? Jeszcze jedna zastanawiająca rzecz. Znalaziono ogromną ilość paznokci. Za dużo, w porównaniu z liczbą ofiar zbrojeńców. Może wszyscy ci seryjni mordercy zabijali też bezdomnych lub ludzi z marginesu, których zaginięcia nikt nie zgłosił. Jednak i to było za mało. Ofiary powinny iść w setki, zaś każdy z zabójców oficjalnie miał na koncie nie więcej jak dwadzieścia kilka morderstw. Skąd zatem brała się reszta paznokci?

XVI Nad sawanną krwawo zachodziło słońce. Ponad wysokimi trawami powolnym marszem przesuwały się czerwieniejące grzbiety antylop.

Dwunogie stworzenie, o przygarbionych plecach i długich rękach sięgających ziemi, z pożądlivością obserwoowało kolumnę zwierząt. Gęsta ślina głodu wypływała spomiędzy wyszczerzonych zębisk. Stworzenie wiedziało, że nie zdoła dopędzić antylop, samo nie miałoby

zresztą szans na ich upolowanie. Trzeba czekać na resztę hordy. Nagle do nosa doleciał słabutki zapach.

Padlina. Daleko. Ślinianki zaczęły pracować obficie. Stworzenie rzuciło się do biegu. Kiedy zapach stał się wyraźniejszy, zwolniło i stało się czujniejsze. Konkurentów do łatwego mięsa nie brakowało. Lwy zapewne już się wyniosły, ale uścisk szczęk hieny mógł być bardzo nieprzyjemny.

Tam, w zagajniku niskich drzew. Podchodząc, stworzenie złapało kij leżący na ziemi. Przydałby się też kamień, ale żadnego nie zauważyło.

Zapach rozkładającego się mięsa przyprawiał o szal. Stworzenie przebiegało od jednego drzewa do drugiego, kryjąc się przed spodziewanym wrogiem. W końcu dostrzegło konkurenta.

Kłęczał nad ochłapami rozszarpanego zwierzęcia i ogryzał kość. Stworzenie poczuło wściekłość - to był jeden z Szarych, hordy, która od dawna starała się wygonić jego grupę z terenów łowieckich. Już miało rzucić się do ataku, ale uczujący coś poczuł. Oderwał się od ogryzania kości i czujnie rozejrzał. Stworzenie ponownie przywarło do pnia. Szary nie wrócił już do posiłku, musiał być najedzony. Zamiast tego chwycił dwa kamienie i wstał. Domyślił się, że jest obserwowany. Najpierw wydał kilka wyzywających ryków, a kiedy one nie poskutkowały, zaczął uderzać o siebie kamieniami, by zmusić przeciwnika do wystąpienia. Stworzenie nie dało się długo prosić. Z okrzykiem wyskoczyło zza drzewa.

Uderzenie kamieni skrzesało iskry. Wskoczyła między wysuszoną trawę, chwilę migotała, po czym rozbłysła pełnym płomieniem. Stworzenia odskoczyły przestraszone. Ogień skakał niczym tancerz, pożerał coraz to nowe kępy.

Był głodny.

Rozbrzmiał radosny śmiech. Stworzenia obnażyły kły, przestraszone i gotowe do walki.

Z ognia wystrzelił zwinny płomień, wykreślił trzy salta w powietrzu i wylądował pod jednym z drzew. Z ognistej kuli rozwinął się w wysoką, opływającą płomieniami postać. To ona się śmiała, szczerze, niemal po dziecinnemu. Płomienny człowiek zaczął oglądać swoje dłonie, po czym z lubością przejechał nimi po całym ciele. Znowu wybuchnął śmiechem.

- I oto ponownie jestem - oznajmił obu stworzeniom. Szary odebrał te dźwięki jako wyzwanie. Cisnął kamieniem w niespodziewanego przybysza, nikt nie będzie się pchał do jego mięsa! Pocisk odbił się od nieznanego i zawrócił, niosąc za sobą płomienny ogon. Szary próbował się uchylić, ale kamień dosięgnął jego piersi - rzadkie futro zajęło się ogniem.

- Jam jest Loki - wyrzekł ognisty z politowaniem, jakby to coś wyjaśniało.

Drugie stworzenie nie czekało, nawet głód go nie zatrzymał.

Loki ze zniechęceniem pokręcił głową.

- Warto poszukać bardziej cywilizowanych stron. Przez następne setki tysięcy lat czynił to bez powodzenia. W końcu zrozumiał, że bez jego pomocy te nędzne kreatury do niczego nie dojdą. Nie tak wyobrażał sobie ponowne narodziny.

XVII Drzwi otworzyła kobieta. Trzydzieści kilka lat, zadbana, przystojna, może zbyt pulchna, ale robiąca wrażenie. Żona. To Frederika zaskoczyło, powinna wyjechać do kurortu nad jeziorami. Cholera, czyżby zawróciła w pół drogi?

Powiedziała coś po polsku, oczywiście nie zrozumiał. Uśmiechnął się za to szarmancko i wyrznął ją w podbródek. Straciła przytomność, nim dotknęła podłogi. Z wnętrza dobiegł głos. Zabarwiony niepokojem. Frederik pchnął drzwi, wpadł do mieszkania i stanął w przedpokoju, gotowy do zadania ciosu. Zaskrzypiały zawiasy półprzezroczystych drzwi. Facet otworzył gębę, ale nie zdołał wykrztusić słowa. Cios w splot słoneczny zakończył jego zdziwienie. Frederik odciągnął

kobietę i zamknął drzwi od klatki schodowej. Skrępował żonę Bołtucia znalezionym w łazience paskiem od szlafroka, zaciągnął do dużego pokoju. Stał nad ofiarą. Mały, krępy, niewywrotny kłoc, nabity tłuszczem. Twarz kwadratowa, nalana, ozdobiona słabymi włoskami wystrzyżonymi na jeża. Jakby tych nieszczęść facetowi nie wystarczało, był jeszcze pedofilem. Działał od czterech lat, ciała jego ofiar znajdowano na terenie Warszawy. Nieuchwytny dla policji schizol. Dzieciakom, które przeleciał, otwierał jamy brzuszne i wrywał wątrobę. Chyba ją żarł, na miejscu zbrodni znajdowano szczątki. Odbiło mu, bo nie mógł mieć własnych dzieci?

- No, kochasiu, przyszła pora na ciebie - mruknął z wysiłkiem Frederik, dźwigając nieprzytomnego mężczyznę. Ułożył go na łóżku i przywiązał do metalowych poręczy. Poszedł potem sprawdzić, jak miewa się żona pacjenta. Powoli przychodziła do siebie, więc wcisnął w jej usta knebel z serwety stołowej. Dlaczego nie zabił kobiety? Nie miał pojęcia. Zaoszczędziłby jej wielu nieprzyjemności - nie zabraknie ich, gdy policja dowie się prawdy o mężu. Poza tym pozbyłby się świadka, dotąd tylko ona widziała jego twarz. Ale nie mógł się zdecydować. Zaklął w duchu i wyszedł z pokoju.

Bołtuć nadal nie dawał znaków życia. Dobrze, parę minut się przyda.

Nie musiał długo szukać. W dolnej szufladzie biurka leżała samotna papierowa teczka. A w niej ciekawe zdjęcia. Wykonane ze statywu, z pomocą samowyzwalacza, ukazywały szanownego kolegę Piotra w towarzystwie ofiar. Dzieciaki miały od sześciu do siedemnastu lat. Dziewczynki i chłopcy. Przerazał widok ich zapłakanych oczu, gdy zamknął się na ich ciałach uścisk pedofila. Te akty podkreślały kłocowatość Bołtucia. A jakiego miał małego - Frederik skrzywił się - czyżby to była przyczyna? Myślał, że po wizytach u tylu zbrojczyków nic nie zdoła go ruszyć. Przeliczył się. Wizerunki żywych ofiar działały mocniej niż wypreparowane, zagasłe już oczy. Ze zdjęć patrzyły przerażone twarze, wykrzywione maski greckiego teatru. Rozrzucił odbitki po pokoju. Niektóre litościwie ułożyły się białymi stronami ku górze. Inne nadal wpatrywały się w niego obscenicznie.

Przyniósł z łazienki wody i wylał ją na twarz pedofila. Mężczyzna zakrzusił się, parsknął i podniósł powieki. Rozglądał się nie rozumiejącym wzrokiem, wreszcie wbił spojrzenie we Frederika. Coś powiedział po polsku. - Będziemy, kochasiu, rozmawiać po angielsku - mruknął Frederik - Wiem, że go znasz.

- Czego chcesz?! Pieniądze są w szufladzie... - pisnął z przerażeniem Bołtuć.

- Chyba się nie rozumiemy. Twoja forsa mnie nie obchodzi.

Muszę wiedzieć jedno: komu i gdzie przesyłałeś paznokcie? Twarz Bołtucia przybrała barwę tynku. Zaraz się opanował. Wystarczająco inteligentny, by zrozumieć, że to koniec gry, przywołał na usta lodowaty uśmiech. - Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, nieprawdaż? - zaakcentował. - Widzę to po twoich oczach. Zabiłeś pewnie więcej ludzi niż ja.

- To wie już tylko święty Jerzy i jego Szef. Zresztą, sprawa nie ma znaczenia. Potrzebuję informacji. - A jak nie, to mnie zabijesz? - roześmiał się gardłowo Bołtuć. - I tak mnie zabijesz. Mam cię gdzieś. - Boisz się bólu. Nieprawdaż? - zagadnął Frederik a Bołtuć zzieleniał. - W pudle nie wytrzymałeś bólu i chciałeś popełnić samobójstwo? Co się dziwisz? Twój zwierzchnicy mogą nie wiedzieć, że siedziałeś, ja wiem. Zbieranie informacji to moja pasja. Co byś powiedział na przypalenie policzków, he?

Aż dziw, jak łatwo poszło. Wystarczyły groźby. Facet najpierw polał się w spodnie, potem wszystko wyśpiewał. Kierunek Szwecja. Dla pewności powyłamywał jeszcze Bołtuciowi palce u rąk. Adres się zgadzał. Frederik z ulgą przestrzelił gnojnikowi czaszkę.

Dość, dość. Miał tego dość. Niepotrzebnie babrał się w cudzych brudach. Powinien wypełniać zlecenia H.O.D. i nie zaczynać prywatnego śledztwa. W tej chwili zakończyłby serię zleceń, a jutro wylegiwałby się na Costa del Sol. Ale teraz wiedział zbyt dużo i ten ciężar nie dawał mu spokoju.

Musiał coś z nim zrobić. Musiał pojechać do Szwecji - tam ułoży ostatni element układanki. A potem urlop. Długi, bardzo długi. Może zamieszka w którymś z Hiltonów? Przed wyjściem zajrzał do żony Bołtucia. Była przytomna, a jednocześnie nieprzytomnie przerażona. Niech żyje, choć większą przysługę by jej oddał, wpakowując kulę w serce.

XVIII Od wielu dni nie nadeszła żadna przesyłka. Zamilkł nawet niezawodny Dideau. A przecież praca została prawie ukończona, brakowało niewiele - kilka paczek umożliwiłoby zamknięcie dzieła.

Loker spędził dwa dni na bezmyślnym miotaniu się po domu. Co się dzieje!?! Niemożliwe, by wszyscy agenci wymarli jednego dnia. To nie dinozaury.

Chwile zwątpienia - nie pierwszy raz w ciągu tysięcy lat ogarniał go strach i zwątpienie. Zawsze w końcu znajdował wyjście, dopinał swego. Ciągłe wszakże powracało wspomnienie tamtej chwili. Morski brzeg i ślepa starucha, nakładająca nań brzemień przeznaczenia.

Zasiądzie na tronie potrójnym.

Gniew i miłość okazań.

Wersy te pamiętał jakby wypalono mu je na oczach. Kim był ten, co przyjdzie? Wielowładny? Wszchemocny na Wysokościach? Takim mu się zdawał Bóg chrześcijan, ale to nie mógł być On. Ten bożek, jak i wielu wcześniejszych od Niego, zrobił swoje i wycofał się daleko, w przestworza. Gdyby cokolwiek związanego z ludźmi Go interesowało, starałby się przynajmniej wprowadzić w życie własne przykazania. Ale Jemu chyba to wisi. Odszedł i kurz przykrył ślady Jego stóp. Kim więc jest Wielowładny? Musi dokończyć dzieła, Naglfar ma już przecież ster i płomienne żagle, pozostały drobiazgi. A jak będzie gotowy, powiezie Lokera w najdalsze zakątki ziemi i piekiel - tam jest dość prawdziwego ognia, by zwrócić Lokerowi władzę. Wtedy nie powstrzyma go żaden Wszchemocny, gniew i miłość na nic się nie zdadzą wobec, na nowo rozpalonej, mocy Płomiennych Olbrzymów. Ale do tego trzeba paznokci, nowych paznokci! Agenci zamilkli, zatem musi postarać się sam. Loker czuł, że za jego nagłym osamotnieniem ktoś stoi, ktoś kieruje wrogimi siłami.

Może, jak kiedyś radził Dideau, paznokcie należało zamawiać u reżimów Czwartego Świata. Wtedy Naglfar zostałby stworzony w rok. Ale Loker postanowił oprzeć się na starej, sprawdzonej recepcie - tylko paznokcie ludzi rasy białej, a najlepiej typu nordyckiego, nadawały się na budulec do prawdziwego Okrętu Ognia.

Drugiego dnia wieczorem zebrał się wreszcie w sobie. Miał cel, zwątpienie minęło. Czas na łowy. Na mieście kupił gazetę. Po pięciu minutach nabył inną, a potem kolejną. Rozpisywały się o jego dostawcach i ich tajemniczego zaborcy. A więc przecucie nie myliło - ktoś kierował akcją likwidowania agentów. Czas naglił. Loker przeklął sam siebie, że nie ogląda telewizji ani nie czytuje gazet - dowiedziałby się o wszystkim dużo wcześniej. XIX Mimo że od śmierci męża minęły dwa dni, kobieta wciąż była w szoku. Gdy powiedziano jej, z kim żyła, próbowała wyskoczyć z balkonu. A swoją drogą, musiała kompletnie oślepnąć, skoro nie dostrzegła niczego dziwnego w zachowaniu męża. Wprawdzie większość psycholi świetnie się kryje przed otoczeniem, ale tak bliska osoba powinna wychwycić choć ślady nienormalności. Cóż, każdy przypadek jest inny. Podała za to dokładny rysopis mordercy. Twierdziła też, że mąż wywrzeszczał temu człowiekowi jakiś adres w Szwecji. Nazwisko brzmiało jak Lokan, Lokin, w każdym razie rozpoczynało się na Lok-. Gość mieszkał w małej miejscowości pod Sztokholmem. Gdy Zuber usłyszał o tym przez telefon, natychmiast zmienił plany i, zamiast do Szwecji, przybył do Warszawy. Dziwne, ale Polska nie figurowała na jego liście łowców paznokci. Ale wiadomo, Polska to Polska. Jeden wielki szum informacyjny. Z drugiej strony całkiem miło odwiedzić stary kraj. Tym razem nie miał czasu ani ochoty na zaglądnienie do ulubionych miejsc. Adrenalina działała, szofer gnał przez ulice Warszawy jak szalony. Wreszcie siedziba Unipolu.

Tkwiał teraz naprzeciwko żony Bołtucia i, zaciskając pięści, zmuszał się do spokoju. Rozłożył mapę środkowej Szwecji i kazał jej szukać miasteczka, którego nazwę słyszała. Tylko tego chciał, policyjny samolot już grzał silniki. W Warszawie czekała zamówiona wcześniej lista obywateli środkowej Szwecji o nazwiskach rozpoczynających się na Lok-. Stu trzydziestu pięciu. Wyłączył tylko dzieci, kobiet nie. Zostało stu dwudziestu ośmiu. „No, kobieto, zdecyduj się wreszcie - poganiał ją w myśli - Wyteż tę głupią główkę, która nie potrafiła rozpoznać zbrojczyka!”

- Eskilholm. To może być to - powiedziała wreszcie niepewnie.

Natychmiast sięgnął po listę.

Eskilholm, Eskilholm. Jest! Thurs Loker.

Mam cię! I tego, który na ciebie poluje. XX Loker zobaczył tego ranka kobietę. Siedziała w cukierni i ze smakiem jadła ciastko. Rzadko spotykana piękność. Kręcone, długie rude włosy, zgrabna aż do przesady, palce smukłe jak u pianistki albo złodziejki. Przypominała mu kogoś, ale kogo? Tyle ich było.

Spojrzała na niego przez szybę, uśmiechnęła się i pomachała ręką. Kiedy stał dalej niezdecydowany, gestem dłoni zaprosiła go do stolika. Na Ogień, ależ miał na nią ochotę. Właśnie na nią, a nie na jej paznokcie. Usiadł, zapominając się przedstawić. Tonał w jej oczach, to znów gapił się na piersi, śmiało wyglądające z dekolту żakietu. A ona cały czas się uśmiechała. Omam, to nie mogło się dziać, zapomniał o misji, o Naglfarze, W przeciągu kilkunastu sekund zakochał się jak szczeniak. Oddałby dla niej wszystko.

- Loki, kochanie, nie patrz tak zachłannie, jakbyś nigdy nie dotykał mego ciała.

Musiał mieć bardzo zdziwioną minę, gdyż roześmiała się serdecznie. Co za cudny dźwięk!

- Poszperaj w pamięci, no, Loki, poszukaj. Dawno, dawno temu, w dalekiej krainie, zwanej Asgard, był mąż i była żona.

- Sygin! - nie wierzył w to. Ona, nie ona. A nawet jeśli, to gdzież miał wtedy oczy, że traktował tę piękność jak szmatę?

- Tak, kochanie, to ja. Za to ty, jakiś odmieniony, jakby ciebie ubył. Źle się odżywasz?

- Do cholery! Sygin!

Przyłożyła mu palec do ust.

- Ciii. Nie chcesz chyba robić przedstawienia z tak niewinnego spotkania?

- Sygin - szepnął - czego chcesz?

- A więc nawet nie powspominamy dawnych czasów - udała żal. - Skoro wolisz od razu przejść do rzeczy - - Zawsze cię kochałam, choć z ciebie był kawał... - zmięła to słowo w ustach gdzieś umknęła jej filuterność - Właśnie ta miłość dała mi dość sił, bym się wyrwała z Helii na krótką chwilę. Do ciebie, dumiu.

- Do mnie?

- A jak myślisz, do kogo?

- No, bo ja wiem...

- Nic nie wiesz, a do tego sam na swoją głowę ściągnąłeś kłopoty. Po co dążyłeś do panowania nad światem? Na chwilę uniósł się honorem.

- Zawsze dążyłem i będę dążył.

- Głupi jesteś, choć kiedyś właśnie dzięki nieposkromionej odwadze osiągnąłeś szczyty. Ale tym razem nie dasz rady, są silniejsi.

- Przybyłaś tu truc mi głowę? A może to właśnie oni cię nasłali? Kim oni są?

Popatrzyła na niego z politowaniem. I ogromną czułością.

- Wiesz, że życzyłabym ci zwycięstwa. Gdyby było możliwe. Ale zostaje mi tylko prosić cię, byś wrócił ze mną do Helii.

- Do umarłaków? Na głowę upadłaś? Tam nie ma nic prócz smutku i ciemności.

- Tam jest spokój, którego zawsze pragnęłam! A tutaj już niedługo nie będzie ciebie!

Z gniewnym syknięciem odchylił się do tyłu. Sigyn posmutniała.

- Wiedziałaś, że przyjdzie po tobie Większy. Trzeba było spożytkować czas, nim On się pojawił. Teraz jest za późno. Chciał jeszcze pytać, ale zniknęła. Po prostu, była i już jej nie ma.

Podeszła kelnerka.

- Co panu podać?

Przyjrzał się jej nieprzytomnie.

- Gdzie jest ta kobieta?! - krzyknął.

- Jaka kobieta?

XXI Frederik nie umiał tego racjonalnie wytłumaczyć, ale w Sztokholmie poczuł nagły przymus pójścia na panienki. Oczywiście, należał do normalnych, zdrowych facetów, co jakiś czas potrzebujących kobiety, ale nigdy dotąd nie praktykował tego w czasie pracy. A tym razem po prostu musiał mieć kobietę, i koniec. Jakby na jutro zapowiedziano koniec świata.

Widok jej nagiego ciała nawiedzał go przez następne cztery dni, spędzone na monotonnym obserwowaniu Lokera. Przystojny, lekko diaboliczny można by rzec, gdyby, zamiast rudej, miał czarną czuprynę. Sprawiał wrażenie nerwowego, często się oglądał, zasłony w oknach zaciągał nawet w czasie dnia. Nikogo nie odwiedzał, sam też nie miewał gości. Do pracy nie chodził.

Mieszkał w niewielkim, zadbanym domku. Znow przeciętniak. Thurs Loker. Zabawne, ale Frederik zapamiętał, że słowo thurs oznacza w mitologii skandynawskiej olbrzyma. Uczyli się o tym na religioznawstwie, w szkole średniej. W ogóle zawsze bardziej pociągały go przedmioty humanistyczne, ze ścisłych obrywał pały. Aż do dziś we łbie pozostało mu mnóstwo

niepotrzebnego śmiecia - na przykład, czwarta wyprawa krzyżowa: lata 1202-1204. Komu to teraz potrzebne? Powinien pójść na ekonomię, jak radzili rodzice, zarabiałby może mniej, ale miałby przynajmniej rodzinę i przyjaciół. Odrzucił pomysł, by nocą dostać się do domu Lokera.

Wszystkie okna, nawet na piętrze, okratowano, zaś drzwi przypominały wierzeje fortecy. Do tego dochodziła podejrzliwość gospodarza. Już prędzej wpuści kogoś za dnia. Na uliczce najmniejszy ruch panował koło południa, ludzie znajdowali się w pracy, a dzieci w szkole. Po drugiej na nowo zaczynała się bieganina. Tak, południe to dobra pora. Przeszkodą mogły się tylko okazać ekipy techniczne, które co rusz zajeżdżały do sąsiednich domów. Niezwykle często musiała się tu ludziom psuć kanalizacja i wideofony. Wciąż krążyły furgonetki naprawcze. Ale to mała przeszkoda, przy zachowaniu ostrożności nikt nie powinien zwrócić na niego uwagi.

XXII Lokera denerwowały krążące wokół domu samochody pełne techników. Dlaczego u niego nic się nie psuło, a u sąsiadów wysyp uszkodzeń? To nie tylko kwestia samodyscypliny. W tym nędznym świecie kiedyś wystarczały siekiera i piła, a wszystko funkcjonowało dziesiątki lat. Nienawidził nowoczesności, nie potrafił się do niej przystosować. Niech no tylko dopnie swego, a wszystko się zmieni i zamiast laserowej zapalniczki będzie znow ogień, wesoło trzeszczący na krańcu patyczka.

Dzwonek do drzwi oderwał go od pracy w Warsztacie. Naglfar wciąż nie był kompletny, brakowało jednej, może dwóch pełnych paczek. Tylko paznokcie nadawały się na budulec statku zaświatów, tylko one zawierały wystarczająco dużo cierpienia związanego z życiem i umieraniem, by nadać okrętowi moc do poruszania się po magicznych przestrzeniach. Ale wystarczy trochę czasu i z tym sobie poradzi. Spojrzał przez wizjer. Niemożliwe! Chyba nieśmiertelny Ogień wysłuchał jego modłów! Pospiesznie otworzył drzwi. - Przesyłka, panie Loker!

Sympatyczna twarz listonosza wydała się Lokerowi piękna jak buzia Sygin. Gotów był ozłocić chłopaka, toteż wpuścił go do przedpokoju, odebrał paczkę i ruszył po portfel. Listonosz przyjął monetę, nie odchodził jednak. Mocno ścisnął kawałek metalu, a ten przelał mu się między palcami i wylądował na podłodze w formie srebrzystych kropli. Loker podniósł wzrok na twarz listonosza. Przybysz zdjął funkcyjną czapkę. Długie włosy rozsypały się na ramionach. Zniknął doskonale znany uśmiech.

Loker cofnął się.

- Nie, to nie możesz być ty!

- Dlaczego nie? To ja, Ślepy Hod, którego podstępem zmusiłeś do zabicia własnego brata.

Przychodzę po odpłatę. - Czy to ty stałeś za tym wszystkim?

- Ja. Wiem też, że Naglfar nie jest skończony. Nie masz żadnych szans, nie posiadasz broni zdolnej mnie powstrzymać.

Dawno nie słyszał podobnie patetycznych słów. Ostatnio chyba z ust Heimdalla. Przyjrzał się Hodowi. Ślepy i głupi jak dawniej. Ubrdał sobie, że da radę jemu, Lokiemu, władcy ognia?

- Zabierz, chłopcze, swoje zabawki i wracaj tam, skąd przyszedłeś. Nie jestem w nastroju, żeby się z tobą bawić. - Pozwolisz, że jako gość sam wybiorę zabawę. - Skoro musisz, ale czy ty cokolwiek potrafisz? Przecież nawet twemu ojcu, gdy zobaczył cię po narodzinach, nie chciało się ciebie leczyć. Byłeś i jesteś nieprzydatny. - Spójrz mi w oczy.

To absurd wpatrywać się w oczy pokryte bielmem, mimo to Loki posłuchał. I zaraz pożałował. Zapadł się w niewytłumaczalną otchłań, czając się za rogatkami powiek. Tylko momentalnie przywołanej mocy zawdzięczał wydostanie się na powierzchnię. Znow stał w przedpokoju, a przed nim niespodziewany gość.

- Muszę przyznać, to było niezłe - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

- Wiele się nauczyłem, czas nie stał w miejscu. Loki uważniej spojrzał na Hoda. Chłopak podciągnął się w tych umiejętnościach, dzięki którym Loker zmusił go przed tysiącami do uległości. Ale, nawet gdyby ćwiczył dniami i nocami, nie mógł dojść do sprawności przyrodzonej Lokiemu. Ten dostał dar opanowywania obcych dusz w dniach początku. Wchodzenie w jaźń, by ją spętać i zmusić do wykonywania poleceń, było podstawą magii Lokiego. - Natomiast nie sądzę, byś ty uczył się czegokolwiek - ciągnął Hod. - Obserwowałem twoje poczynania. Nadal posługujesz się dawno przebrzmiałymi metodami, godnymi raczej Sprengera czy Gui'ego.

- Bzdury pleciesz - warknął Loker.

- Nie potrafisz się dostosować do zmian. I dlatego musisz zostać wyeliminowany.

Na twarz Lokiego wypełził pogardliwy grymas. - Śmiesz mi grozić? Mnie, którego bał się sam Odyn, a nawet wszyscy bogowie razem wzięci?

- Odyn, mój ojciec, nie żyje. Ja przetrwałem, bo wyznaczono mi inny los. Ty odrodziłeś się w wyniku kaprysu tegoż losu. Pora naprawić pomyłkę.

- I właśnie ty, największy z bogów - zakpił Loker - podjąłeś się arcyważnej misji.

Hod pokręcił przecząco głową.

- Nic nie rozumiesz... Jestem tylko ramieniem. Loki poczuł dreszcz strachu. Na płomienie Muspellheimu, rzeczywiście nie pojmował, o co chodzi. Ale to bez znaczenia. Im wcześniej pozbędzie się przybłędy, tym lepiej. Jeszcze raz zajął w oczy Hoda. Obezwładniały, jednak tym razem był przygotowany. Wtargnął w jaźń Hoda, jakby wbijał taran w zamkniętą fortecę.

Usłyszał wycie bólu. „Dobrze ci tak, nieopierzony bękarcie! Jeszcze trochę poboli”. Przebijał się przez pokłady strachu, magii i doświadczeń. Bez problemu przecinał je ostrzem swego talentu,

nigdzie nie napotykał większej przeszkody. Dostał się już na tyle głęboko, by wysondować, gdzie też ukrył się Hod.

Wyczuł go. Odległe, słabo jaśniejące widmo coraz bardziej się oddalało. O sukinkot, ależ szybko zwiewał! Loker poczuł zadowolenie, trochę się z nim pobawi.

Nie ruszył prostą drogą, odbił na prawo, by z boku zejść uciekiniera. Upajał się lotem pomiędzy rozbitymi w puch zakłęciami powstrzymującymi, niektóre, dla zabawy, naruszał, inne z radością niszczył. Dawno nie czuł się tak wolny, nowocześni ludzie okazywali się bardzo nieskomplikowani, rozbrajał ich w parę chwil. Tu trafił się poważniejszy przeciwnik i, choć nie dorastał mu do pięt, to przynajmniej się starał. Namiastka walki była znacznie ciekawsza niż nudne omotywanie bezbronnych karykatur, którym wydawało się, że mają niezależną duszę.

Hod znajdował się już blisko. Wyraźnie zwalniał, nie starczało mu sił na dalszą ucieczkę. Loki też ograniczył szybkość, postanowił odwlec moment zwycięstwa. Stanęli twarzą w twarz. Hod próbował się wyrwać, jęczał bezsilnie, zamknięty w niewidzialnym uścisku Lokera. Pan ognia chłonał spazmatyczne dźwięki, radowały go nie mniej niż smak pościgu.

Rozwarł wilczą paszczę - taki mały hołd dla dawno nieżyjącego syna - i chlasnął twarz Hoda długim, gorącym jeżorem. Syn Odyna smakował obrzydliwie, ale w końcu to przecież mięso.

- Powstrzymaj się! - zahuczało mu w uszach. Niechętnie odwrócił łeb, zwycięstwo dodawało pewności siebie. Teraz nie bał się już niczego. - Odejdź i nie przeszkadzaj - zawarczał. - Nie ma tak dobrze - odparł zażywny jegomość w szykownym garniturze. Uśmiechał się dobrotliwie - Puść mego sługę i z własnej woli zejdź w otchłanie piekielne. Lokera coś tknęło.

- Kim jesteś?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- A czy to ważne? Jestem, bo jestem, a ciebie, tak naprawdę, nie ma. Chciałem powiedzieć, za chwilę cię nie będzie.

- Tyś jest Wielowładny?

- Ehe. Hod miał rację, przez ten cały czas nie rozwinąłeś się ani trochę. Nawet myślisz archaicznymi metodami, żywcem przeniesionymi z „Eddy”.

Loki puścił Hoda. Ta kukła nie mogła mu zagrozić, lepiej się zająć tajemniczym szefem, póki jest jeszcze czas. Zrzucił wilczą skórę i przybrał postać smoka.

Jegomość skrzywił się z politowaniem.

- Sądzisz, że będę się bawić w świętego Jerzego? Z ciebie nawet nie neandertalczyk, ty jesteś umysłowym australopitekiem! Tylko dlatego pozwalałem ci na długie życie w moim świecie, bo chciałem, żebyś podciągnął robotę przy Naglfarze. Bardzo ciekawy statek. Loki puścił nozdrzami kłęby pary. W jego świecie!? Dość tego!

Strumień ognia bluznął czerwienią kula. Pomknęła, ale wyraźnie zmniejszyła szybkość, by ostatecznie bezwładnie upaść u stóp jegomościa. Ten podniósł ją i ciekawie obejrzał. W jego rękach przemieniła się w rozjarzoną wysokim płomieniem, srebrzystą zapalniczkę Zippo.

Mężczyzna niespiesznie wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki papierośnicę. Wybrał papierosa, odpalił. Dwa razy z lubością zaciągnął się dymem.

- A teraz koniec przedstawienia. Czas do muzeum. Zgasił zapalniczkę. I dla Lokera zapadły kompletne ciemności. Na dodatek wieczne.

Zwycięzca pojedynku przyjrzał się Naglfarowi. Nic w przyrodzie nie ginie, zmienia tylko właściciela. Jego prywatne Muzeum Pychy wzbogaci się o nowy eksponat - najlepiej, jeśli okręt stanie między Wieżą Babel a skrzydłami Ikara. A może by tak nakazać dokończenie budowy statku i wybrać się w rejs po wrzących, piekielnych oceanach? Jeszcze się nad tym zastanowi. Dokończył

papierosa i natychmiast sięgnął po następnego. Z niechęcią odrzucił Zippo. Z kieszeni wydobyl nowoczesny sprzęt laserowy.

Przed opuszczeniem wymiaru zdążył jeszcze dostrzec mężczyznę z odbezpieczonym pistoletem wkraczającego do domu Lokera. Nie zdziwił się wcale, dobrze znał wścibską człowieczą naturę.

- Przykro mi, ale sam wybrałeś - co rzekłszy, wyczarował srebrną miednicę z wodą i starannie umył ręce. Frederik bacznie obserwował dom Lokera. Czekał na wyjście listonosza, ale mijały długie minuty, a to nie następowało. Zdecydował, że skorzysta z nieprzewidzianej wizyty urzędnika i dostanie się do środka. Może Loker nie zamknął drzwi za dostarczycielem przesyłki.

Rzeczywiście, klamka ustąpiła od razu.

Wchodząc, wyciągnął i odbezpieczył pistolet. Przedpokój zalewało światło o nienaturalnej, purpurowej barwie. Frederik zatrzymał się, niezdecydowany. O wyciągnięcie ręki od niego stały dwie postaci, listonosza i Lokera, obie jakby zatrzymane w pół gestu i skamieniałe. Celując gospodarzowi w głowę, ostrożnie podszedł. Dotknął najpierw jednego, potem drugiego. Słupy soli. Sprawdził puls. Ledwie wyczuwalny. Co tu się dzieje, do licha!?

Odskoczył, przeklinając. Tym razem na głos. Postać listonosza rozmywała się w powietrzu jak dym z fajki opiumisty.

- Boże, nie karz mnie majakami. Powiedz, że to tylko sen! - szeptał, wycofując się ku drzwiom. Ale Bóg myślał już o czym innym.

Listonosz zniknął. Demonicznie wyglądający Loker tkwił na swoim miejscu.

Frederik przeżegnał się i wpakował w gospodarza trzy kulki. Ciało runęło. Nie pociekła kropelka krwi. Frederik chwycił za klamkę.

Ulicę zamykał kordon policjantów w kamizelkach kuloodpornych. Wszyscy mierzyli do niego z ogromnych karabinów. To koniec! Po cholere wpakowywał się w ten koszmar?

Starszy facet, na wpół ukryty za otwartymi drzwiami furgonetki naprawczej, trzymał przy ustach megafon. - Poddaj się! Nie masz szans! Cały dom jest obstawiony! Poczul się beznadziejnie wywiedziony w pole. Nie tylko nie wie, po co Loker zbierał paznokcie, nie tylko nie natrafił na ślad zleceniodawcy, H.O.D-a, ale na dodatek wpadł w łapy glin.

Na dachu odległego domu dostrzegł człowieka z aparatem fotograficznym. Niemal słyszał kliknięcia migawki. Po prostu cyrk. Parada atrakcji. Prasy przy tym nie mogło zabraknąć. Uniósł ręce.

No, ale w końcu ma, co przed laty wymarzył. Wreszcie stanie się sławny.

Henryk Zuber mógł zamknąć sprawę. Loker nie żył, krzyżowiec trafił za kratki. Teraz zmartwieniem sądu pozostało ustalenie, komu wysyłano paznokcie. Bowiem, co ciekawe, w domu Lokera nie znaleziono ani jednego paznokcia. Wreszcie ostatni problem - kto wynajął mordercę, by ten urządził krucjatę? Szczerze mówiąc, Zuber od początku wątpił w wyjaśnienie zagadki. I w tym tkwił problem - dochodzenie zakończone, a w istocie nikt nic nie wie. Trupy, z definicji, mówią niewiele, zaś w mętne wyjaśnienia Frederika mało kto chciał wierzyć. Znikający listonosze? Równie dobrze mógł się tłumaczyć, że działał na zlecenie Pana Boga. Chyba czas na upragnioną emeryturę. Najpierw odwiedzi grób żony, potem pojedzie do Cali. Jej by się tam spodobało.